

## PRZEBUDZENIE

Stuk, stuk... stuk, stuk... stuk, stuk... Drżenie, dudnienie, kolebanie... W dali światełka wędrujące, mrugające złotymi oczkami, kiwające srebrnymi rączkami... coraz dalsze, senniejsze...

– Aniołki już ci przyniosły dwóch malutkich braciszków. Niedługo dojeżdżamy. Sama zobaczysz, jakie śliczne. Cieszysz się, prawda?

Och! Tak, Marto, tak... Tylko po co tych dzieci aż tyle?

\*

– Też jesteś zapisana do klasy pierwszej „a”? Przyłącz się do nas. Chcesz zostać moją parą? Jak się nazywasz?

– Anka.

– A na nazwisko?

– Borowska.

– Ja się nazywam Gosia Nowak... i ja już wiem, jak jest w szkole. Ja to już umiem czytać.

– Koza, mee... Przyszłaś tu z niańką, co? Sama nie trafisz do domu? Ty, gruba Gosia... baryła, dlaczego już się nie chwalisz?

– Proszę pani, on się przeżywa!

– Chwalipięta, skarżypyta, podlizuch... krzywa, wyprostuj się!

– Nie, to obrzydliwe... Jej nie zaczepiaj... nigdy. Chcesz za to czekoladkę?

– Pewnie, że chcę. A co do niej, masz rację.  
– Nie przeszkadzaj! Nie gadaj!  
– Jak tobie nie wstyd zadawać się z takim łobuzem, żeby aż pani musiała zwracać ci uwagę? Nie wiem, czy warto z tobą siedzieć. Jeżeli jeszcze raz do niego się odezwiesz, nie zaproszę cię nigdy do siebie. . . nawet na imieniny. Ja mogę się przyjaźnić tylko z grzecznymi dziewczynkami.

\*

– Mów głośniej, Irko.  
– Mama jest praczką, ojca nie mam.  
– Opuść rękę, Gosiu. Pani sama ciebie wywoła.  
– Chwalipięta, skarżypyta, podlizuch!  
– Mój tatuś, proszę pani, jest lekarzem. Moja mama nie pracuje.  
– A twoi, Aniu?  
– Moi rodzice są urzędnikami.  
– Nie martw się, Irko, że twoja mama jest praczką. Przecież trzeba pracować. Moja mama i Marta codziennie piorą dla dzieci. . . i ja też lubię pracować dla swojej lalki, Kasi. A ty masz lalkę?  
– Mam, z gałganków. . .

\*

– Nie zaprosiłaś Irki?  
– Coś ty, głupia, czy co? Jej wygląd wszystko by popsuł.  
– A ona tak cię podziwia.  
– Bierz prędzej, schowaj!  
– Możesz mi nic nie dawać, jak się boisz grubej. Mnie nie zależy, a Irki i tak nikt nie zaczepi, bo by popamiętał.  
– Wcale się jej nie boję, tylko. . . ty chyba nic nie rozumiesz.  
– Namyśliłam się, wiesz? Zaproszę Irkę, tylko nie jestem pewna, czy ona ma się w co ubrać?  
– O to się nie martw. Pożyczę jej tę sukienkę w kwiatki. Jestem tak samo szczupła. Moja mama na pewno się zgodzi.  
Ile zabawek. . . Jaki puszysty dywan. . . i kolorowe lampiony. . .  
– Czestujcie się, dziewczynki. No, Irko, nie wstydź się.

– Jaka miła ta dziewczuszka. . .

– Ania? No, nasza Gośka od razu się na niej poznała.

„Czemu te dzieci tak bez przerwy płaczą? I spać nie dają, i przeszkadzają odrabiać lekcje. Gosi się znudził elementarz i czytała pod ławką jakąś inną książkę. Pani zwróciła jej uwagę. Bardzo się obraziła na panią. Może ją mama przeniesie już do drugiej klasy? Na imieninach Irka była taka szczęśliwa. . . A sukienkę mogę jej przecież dać na zawsze. Jak mama wróci z pracy, trzeba to załatwić”.

\*

– Jadę z mamusią nad morze. Na całutkie wakacje!

– A my z Martą w tym roku nie pojedziemy do niej na wieś, tylko z dziećmi do Świdra, żeby było blisko. Irka nigdzie nie wyjeżdża, szkoda. . .

„Całe wakacje dzieci uczyły się chodzić i trzeba było ciągle je prowadzać. Gosia znowu została przewodniczącą klasy. Trudno się teraz do niej wyrwać, bo trzeba pomagać Marcie. Dzieci im lepiej chodzą, tym są niezdolniejsze. Kąt z zabawkami całkiem rozwalily. Jak uratować Kasię? Może by zamieszkała na szafie? Smutno trochę i nudno. Dni coraz krótsze, liści coraz mniej, szyby bez przerwy płaczą, a chmury dokądś płyną, płyną. . . ”

Wplątany w resztki snu kleisty zapach pieczonego ciasta i rześka woń choinki. Jakoś niezwykle jasno. . .

– Śnieg! Wszędzie biało! Słońce! Och, Marto, jak cudownie! Będzie prawdziwe Boże Narodzenie. . .

Gwar. . . ruch. . . muzyka. . . Lód odbija jak lustro światła reflektorów. . .

– Popchnij grubą!

– Daj spokój.

– To ja ją popchnę. . .

– Przestań!

– Masz rację. Gruba niech lepiej stoi. Rymnie i lód rozbije. Pędzimy, chcesz?

– Aha. . .

– Tylko się mocno mnie trzymaj.

– Urządzamy prawdziwy bal karnawałowy. Od dziś na gimnastyce będą lekcje tańca. I żadnych głupich wybryków. Kto nie chce z nami trzymać, niech się przeniesie do „b”.

„Ta Gosia to potrafi być przewodniczącą”.

– O co chodzi, Gosiu?

– Bo, proszę pani, oni nie chcą tańczyć.

– Ruszcie się, chłopcy, no...

Sala w girlandach... orkiestra... mieniące się cekiny... barwne korale, wstążki i falbany... Wszystko wiruje, wiruje, wiruje, aż miga w oczach i kręci się w głowie...

– Musiałś tańczyć z tym łobuzem? Inne dziewczynki tańczyły ze sobą.

– Przecież ty, Gosiu, sama tego chciałaś.

\*

Wielkanoc... Wiosna... Skwerek co dzień zieleńszy... Na twarzy ciepłe pocałunki wiatru... Można włożyć krótkie skarpetki...

– Jedziemy statkiem do Młocin! Razem pojedą pączki i kwas chlebowy! I mama Gosi do pomocy pani...

Drżące świetliste smugi... Dziwne echo ciszy... Myśli pełne skupienia...

„Być tak naprawdę dobrym. Nie mieć na swoim sumieniu żadnych złych i niegodnych uczynków... Jak to okropnie trudno. Trzeba okazać wolę i wytrwałość choćby w jednym. Muszę koniecznie od zaraz bardziej pomagać Marcie”.

– Czemu tak pędzisz? Ledwo cię doznałam. Tak się spieszysz do domu? Po co? Taka piękna pogoda, chodź na skwerek. Już się przygotowałaś do spowiedzi? Bo ja to już... Nie wiem jak ty, bo ja właściwie nie mam grzechów, a zresztą może jeden? Muszę się jeszcze namyślić, bo przecież trzeba coś powiedzieć, no nie?

Sekunda osłupienia i... pospieszna odpowiedź:

– To przecież tajemnica, Gosiu. O tym się nie rozmawia.

\*

Promienie łążą po ciele... Strumyk gra na kamykach... Brzęczą owady... Łąka pachnie sianem...

„Trzeba przyjść wieczorem. Mgły nad strumykiem znowu będą wstawać i zamieniać się w dziwne postacie. Zaczną się giąć i kłaniać, a potem wolno, wolniutko oddalą się w noc. A może to się wcale nie zdaje? Może to wcale nie są mgły?”

\*

„Uwaga, uwaga! Nadchodzi! Alarm lotniczy dla miasta Warszawy! Dla miasta Warszawy!” Piwniczny mrok i dudnienie... dudnienie... dudnienie... Raz po raz świst i łomot... coraz głośniejszy, głośniejszy i coraz przeraźliwszy... Skurcz w gardle. Już? Tym razem jeszcze nie... „Odwołujemy alarm lotniczy!”

W górze upiornie gorejąca, zadymiona studnia podwórka. Na dnie w piwnicy trwanie bez czasu, sensu, bez myślenia. Ciągłe tak samo, dni, tygodnie... Skulone, odrętwiałe wyczekiwanie na wyrok. Nareszcie cisza... Gruz, szkło i cisza... trwożna, niepewna, przejmująca.

– To ta dziewczynka? Miła... wygląda na rozsądną. Na pewno da sobie radę. To będzie ulga dla pani, a jej warunki się polepszą i będzie chodziła do szkoły. O mężu nadal nie ma żadnej wiadomości? No, tak... Pani z małymi radzimy jechać do kuzynki na wieś.

Droga bez końca... błoto... ziab... Domy przedmieścia... pole... Śmiertelnie smutny zmierzch... Ciemna uliczka za zakrętem... długi i niski murowaniec... kilka topoli majaczących w mroku, dalej karłowe krzaki, hen, ginące w mglistej czerni widnokręgu. Twarze dziewczynek i pani, widziane jakby przez mgłę. Słowa jakby nie swoje, szurgot kubeczków po ogromnym stole i prawie zapomniany smak chleba. Pomieszczenia jedno za drugim. Miejsce na dole piętrowego łóżka. Dziwne, bezmyślne zapadanie w jałowy, tępy sen.

Błąd poranek... Obca izba, surowo czysta. Masywne prycze z drewna równo usłane kocami. Niski parapet, na nim krzywy kaktus. Nad piecem wielki krzyżak, opadający wolno w dół.

„Pająk przynosi szczęście. Marta go nigdy nie zabiła. Wyganiała tylko za okno, żeby nie brudził ścian. Ściany... jakie to było ważne... Nie ma już nic... Tatuś nie wrócił, Marta wyjechała...”

Przepadło wszystko... dom i szkoła, i piękny pokój Gosi. Taka sama jak dawniej została tylko suterena Irki.

– Już nie śpisz, prawda? Jak ci na imię, moje dziecko?

– Anna.

– Więc, moja Aniu, trzeba, żebyś szybko do nas przywykła. To twoja paczka, tak? Pod łóżkiem masz kuferek. Miejsce na książki wyznaczę ci w świetlicy, tak jak mają inne. Od jutra pójdziesz do szkoły. One cię zaprowadzą. Musisz się więcej uczyć, żeby nadrobić zaległości. Teraz umyj się obok i ubierz szybko, bo zimno. Mamy trudności z opałem. W kuchni dostaniesz śniadanie, to się rozgrzejesz gorącą kawą, a potem pozamiatasz.

– A, to ta mała, która przyszła wczoraj. Zbieraj prędko te śmiecie, bo ci je rozniosą!

– Ale tu zimno. Znowu mnie rwie w kolanie.

– Owiń szalikiem, Praksedo. To ci pomoże.

– Znowu wylałaś atrament, ofiaro. Wczoraj zmieniony papier i już jest zaświniony. Nie możesz trochę uważać?

– Nie widziałaś gdzie, Zosiu, mojej zaczętej rękawiczki?

– Sama niedługo zginiesz. Rzucasz te druty byle gdzie, aż się która nimi przebije!

– Wandziu! Jesteśmy głodne jak psy. Już czas nakrywać, guzdrało!

– Pani kazała, żebym opiekowała się tobą. Nazywam się Janina. Mówią na mnie Janeczka. Jestem tu od początku. Moi rodzice zginęli – poważny głos i spojrzenie, prawie niepasujące do okrągłej buzi i dwu sterczących warkoczyków.

– Nie wszystkie dziewczynki są miłe i dobrze wychowane, ale obydwie panie każą im dawać dobry przykład i cierpliwie wszystko tłumaczyć. Będziemy miały książki z Jadzią i Marysią. Są jedne podręczniki na kilka. Odrobisz z nami lekcje. Nie jest dużo, a będziesz od razu wciągnięta. Marysiu, nowa koleżanka też będzie korzystała z książek. Posuń się trochę, żebyśmy wszystkie mogły odpisać przykłady.

– A może jeszcze z dziesięć? I tak nie można się dopchać.

– Jaka ty jesteś, Marysiu. Wiesz, że ze wszystkim są trudności.

Paniom mało głowy nie pękną, żeby to wszystko jakoś było. Taka okropna wojna... Czy ty doprawdy tego nie rozumiesz?

Niechętnie ustąpiony kawałek miejsca na ławie i tylko jedna myśl:

„Nie płakać. To i tak nic nie pomoże. Ona przecież nie płacze, chociaż jest sierotą i już nigdy nie wróci do domu. Nie ma rodziców, a jednak coś tu znaczy. Liczy się tutaj... sama z siebie się liczy. Jak niepodobna jest do Gosi. Aby się tylko nie rozplakać. Dobrze odrobić te lekcje. Poradzić sobie... jak Janeczka. Nie pozwolić się zepchnąć na szary koniec”.

## OCZEKIWANIE

Anka przestała czytać. Z głową opartą na dłoniach wyglądała przez okno. Leciuchny wiatr raz po raz zataczał swój taneczny krąg, wlokąc za sobą uschnięte liście. Na załamaniu muru gasł ostatni odblask.

Taka ogromna cisza, że aż dzwoni w uszach. Nie, to nie cisza, to zegar cyka w jadalni. Biedna Praksesta ciągle chora. Dobrze, że zasnęła. Chciałyby być u babci. Kiedy nareszcie skończy się ta wojna? Ludzie chwytają gorączkowo iskierki nadziei, żeby się jakoś pokrzepić. Wczoraj Lucynka znowu przyniosła skądś ulotki. Ta to ma własne dróżki, którymi sobie chodzi, i jakieś znajomości, o których panie nie wiedzą. Wczoraj wróciła podniecona i w kółko powtarzała, że z Niemcami krucho. A od ojca znów nic, żadnego znaku życia. Niemcy... To słowo, jakby go nie brać, jest zawsze tak samo okrutne. Nawet na ich odludnej, nic nieznaczącej uliczce zobaczyła ten straszny mundur... naprzeciw siebie... Wtedy coś ją napadło, żeby mu nie ustąpić, żeby mu się przyjrzeć. Ktoś, kto potrafi mordować, nie może przecież mieć normalnej twarzy. Jak wygląda oblicze zbrodniarza? Przyspieszyła kroku bez właściwego rozumienia, co tak naprawdę zamierza. Doznała jakby przerwy świadomości, ubytku w czasie. Tuż przed sobą ujrzała zwykły, wesoły, ludzki uśmiech, z którym ten Niemiec gestem wytwornie żartobliwym ustąpił jej przejście na wąziutkim chodniczku. Pomyślała



zdezorientowana, że jest skończoną idiotką. Biegła i rozpaczliwie szukała odczuć jedynie prawidłowych – nienawiści. . . nienawiści, której wcale nie czuła. . . Co jej do tego człowieka, którego musi nienawidzić, a o którym przecież nic nie wie? Doznania przeraźliwe, bolesne i jak sen nietrwałe. Już następnego dnia zerwał dziewczyny od obiadu ponury ryk samochodów. Po chwili z pobliskiego domu wyprowadzono młodego chłopca, znajomego zresztą. Przychodził czasem do nich w różnych społecznych sprawach. Wszystkich ujmował swoim nadzwyczaj ugrzecznionym sposobem bycia, który Lucynka potrafiła idealnie przedrzeźniać. Krzyczała wówczas do Zosi, wyrosniętej nad wiek brunetki o aksamitnym spojrzeniu: „Popatrz, popatrz, przyszedł twój narzeczony!”. Zosia się czerwieniła, a Lucynka mówiła przez nos: „Dzień dohby paniom. Mamy dzisiaj piękną pogodę, niephawda?”. Och, nieprawda. Dla niego pewnie żaden dzień już nie miał się skończyć pogodnie. I ich budynek również objęła rewizja. Pani już z góry otworzyła drzwi. Wieczór po tym zdarzeniu był przygnębiający. Dziewczyny milcząc układały skotłowane rzeczy. Mała Isia chlipała nad zniszczonym rysunkiem, który z zaparciem się siebie wykonywała przez parę godzin, aż ją Lucyna ofuknęła ostro: „Zamiast ryczeć, podziękuj Bogu, żeś nie dostała po głowie!”. A gdy dziewczynka umilkła, dodała z przejęciem: „Kto tu ma łeb na karku? Wczoraj wyniosłam do chlewika polski i historię. Pięknie by było, gdyby je znaleźli. Nigdy tych książek nie sprzątniecie jak należy i jeszcze okłamujecie panie, co jest po prostu podłe”.

Silniejszy wiatr zaskrzypiał okiennicą. Anka ocknęła się. „Trzeba je zamknąć” – pomyślała, ale nie chciało jej się ruszyć. Podźwi-gnął ją dopiero łomot drzwi wejściowych.

– Ziąb, ziąb – wykrzykiwały dziewczęta i już ich było pełno.

– Nie pal światła, Basiu. Widzisz chyba, że są otwarte okiennice. Cóż to, nie ma nikogo? Pewnie się pospały – Lucynka wyteżyła wzrok.

– Ty, Anko, czy twój duch? Szkoda, że z nami nie poszłaś. . . Prakseda mogła pobyć sama. Masz swoją porcję cukierków.

Błysnęło światło. Wróciła rzeczywistość. Tylko powieki drgały chwilę od nadmiaru blasku.

– Napijmy się gorącej kawy – zaproponowała Janeczka. – Na dworze wcale nie czuć końca zimy.

Anka wybiegła do kuchni i po chwili z jadalni doleciał dźwięk kubeczków. Janeczka widać bardzo zmarzła, bo zaraz poszła za nią, aby się prędzej ogrzać. Niewiele się zmieniła w ciągu tych kilku lat. Miała tego typu mocną, kręłą figurę, która z przejściowej bryłki wykluwa kształt ostateczny mozolnie i powoli. Zawsze tak samo zrównoważona i uprzejma, przez cały czas była najbliższą koleżanką Anki. Systematyczna i praktyczna, uczyła się dokładnie, nie poddawała przesadnie uczuciom i nigdy nie gubiła wątku realnych spraw życiowych. To była taka dziwna przyjaźń, wynikająca bardziej z układów niż ze wspólnoty charakterów. Anka, nieco wyższa i szczupła, o drobnej kości i delikatnych rysach twarzy, zewnątrz również była całkiem inna. Obie na tajnych kompletach, pod pokrywką handlowki, przerabiały drugą gimnazjum, a w internacie samodzielnie rządziły sprawami szkolnymi. Powyżej była jeszcze grupa piętnastolatek, uczących się zawodu. Dziewcząt starszych w zasadzie nie obejmował zakład, czego od roku nie przestrzegano ściśle, chroniąc w ten sposób niektóre przed wywózką do Niemiec.

Gdy po wypiciu kawy dziewczyny przeszły do sypialni, nie na wiele się zdały błagania Anki, żeby zachowywały się cicho. Przewróciły krzeselko, butelkę z wodą do kwiatów i oczywiście obudziły Praksedę. Zaczęły się od nowa opowiadania i śmiechy. Dziewczyny słały łóżka i szykowały się do snu. Malutkiej Isi guzik zaplątał się w pętelkę i Anka, para z łóżka, musiała jej pomagać. Już dwa lata sypiała na górze. Bo też i kawał życia upłynął od czasu, gdy pierwszy raz tu weszła. Obecnie było dobrze, lecz minie jeszcze rok, może troszkę więcej i skończy się to życie. Znowu trzeba będzie stanąć przed murem obcych ludzi i znów wykuwać w tym murze pozycję dla siebie. A może wszystko ułoży się pomyślnie? Może do tego czasu już skończy się wojna? Powróci dom rodzinny jak zmarłychwstałe widmo? Zacznie się niepojęte i szczęśliwe życie? Jak by to wszystko było? Biedna mama... jaka już zniszczona... Tak rzadko się widują. Jeden jedyny raz spędziła lato u ciotki. Więcej już nie pojedzie. Po co pogarszać sytuację, która i tak jest okropna? Sytuację mamy i swoją. W zakładzie nikt nikomu niczego nie

wymawia i nie robi łaski, a w lecie też jest ładnie, gdy zazielenią się trawy i zakwitną akacje. A najważniejsze, że ma się więcej czasu i można czytać, czytać, choć na trochę przenieść się w świat, który z rzeczywistością nie ma niczego wspólnego.

– Już jest ta nowa! – Marysia wbiegła do sypialni. – Widziałam ją przez szparę. Rozmawia z panią. Taka jakaś wsiowa... Wstawajcie, trzeba zobaczyć, co za złoto.

– Na pewno lepsze od ciebie – odparła cierpko Lucyna, grzebiąc z pozycji leżącej w wyciągniętym spod łóżka kuferku. Nie lubiła głupiej Marysi, jak oficjalnie ją zwała, za jej ograniczenie i wścibstwo.

Szara wczesnomarcowa niedziela tonęła w zwałach chmur, które gwałtowny wiatr przewalał nisko nad ziemią. Takiego dnia wolno było pospać trochę dłużej. Dziewczyny jednak wstawały. Przybycie starszej nowej było dość rzadkim wydarzeniem, a jej skrytykowanie stanowiło odwet za skrępowanie i nudę zbiorowego, ubogiego żywota.

Gdy Anka weszła do świetlicy, pierwszy rzut oka potwierdził opinię Marysi. Nowa dziewczyna miała grube rysy i toporną figurę. Na dodatek szpecił ją ubiór, stosowny dla dorosłej kobiety. Okropne buty na obcasie i wyliniałe jedwabne pończochy, kuse, czarne, wytarte paletko, które uświetniał szczątek karakułowego kołnierza i staromodna fantazyjna torebka wyglądały żałośnie. Jadzia trąciła Marysię:

– Przy śmietniku leży kapelusz. Będzie świetnie pasował do tego jej stroju. Polecę i przyniosę – a że obie nie mogły wytrzymać ze śmiechu, wybiegły ze świetlicy.

– Pani mi powiedziała, że ona cudem uniknęła śmierci. Jej ojca złapali z bronią i z miejsca rozstrzelali, a macocha z dziećmi uciekła – powiedziała Janeczka do Anki. – Faktycznie się wystroiła... Trzeba ją będzie jakoś przebrać, bo by w szkole życia nie miała do samego końca. Ona się chyba uważa za bardzo elegancką, bo taką ma pocieszoną minę...

Niebawem nową Kazię wzięła w obroty pani na zwykłą zapoznawczą ceremonię, której przebieg dziewczęta znały na pamięć. Szły też za nimi jak procesja, szturchając się w milczeniu łokciami.

Gdy wreszcie żywot Kazi wtłoczono w regulaminowe ramy, podano śniadanie. Następnie panie zabrały Kazię do siebie. Pozostało już tylko sprawdzenie jej osobistej czystości, bez dokonania czego nie dopuszczano nowej do styczności z resztą. Zasada taka była rygorystyczna i słuszna, bo wywiedziona z doświadczenia. Rzadko która dziewczyna nie była zawszona. Zdarzało się i tak, że generalnej dezynfekcji musiała być poddana nie tylko sama głowa, ale i całe ubranie, które często natychmiast palono. O tym dziewczęta wiedziały, więc teraz z podnieceniem czekały na rezultat.

– Czuję, że z nią nie będzie dobrze, bo jeszcze żadna ze wsi nie przysłała jak należy – powiedziała przewidująco Janeczka.

Dopiero o dziesiątej, gdy dziewczyny straciły nadzieję, że Kazia kiedykolwiek zostanie wypuszczona, podejrzanie nieobecna Marysia wbiegła do sypialni, w której segregowano bieliznę. Obwieściła z wypiekami na twarzy:

– Wiecie? Ma wszy! I to aż tyle, że będzie ostrzyżona na zero. . . O rety! Taka duża dziewczyna. . . to ci dopiero heca! Słyszałam, jak pani mówiła, że nie ma innej rady.

– Jej włosy, a tobie razem z kudłami powinny uciąć łeb – odparowała pogardliwie Lucynka – żebyś nie wtykała nosa do cudzego trzosa i nie podsłuchiwała pod drzwiami. Opamiętasz się wtedy, gdy ci go ktoś przytrzaśnie. Kazi włosy odrosną, a ty bez nosa zostaniesz na zawsze. Oby się to zdarzyło jak najprędzej.

Niemniej relacja Marysi potwierdziła się. Ponieważ ostatnio zakład był całkiem pozbawiony środków, które by mogły rzeczywiście oczyścić włosy z robactwa, do tego tak zaniedbane i gęste, jak okazały się u Kazi, panie postanowiły ostrzyć ją do skóry. Zdawały sobie sprawę, że dla dziewczyny w tym wieku będzie to ciężkie przeżycie. Zdenerwowane i złe usadowiły ją na środku świetlicy. Ukrywanie tej sprawy nie miało joty sensu, a włosy należało spalić z dala od czegokolwiek.

Oglupiona i przestraszona Kazia niezbyt zdawała sobie sprawę, co faktycznie z nią zamierzają i miała minę, jakby chciała uciec. Pełna świadomość faktu dotarła do niej dopiero wtedy, gdy maszynka przejechała po skórze. Otworzyła wówczas usta, a oczy jej nabrały wyrazu przerażenia. Zerwała się raptownie z krzesła i

w jednym ręku ściskając swą nieszczęsną torebkę, drugą chwyciła się za głowę, powtarzając nieprzytomnym belkotem:

– Ja nie chcę, nie pozwolę, puście mnie, puście. . .

Pani opadły ręce. Usiłowała łagodną perswazją skłonić ją do spokoju i zajęcia miejsca na stolku. Wysuwała argument niezbity, że głowa z przodu jest już ostrzyżona i nawet najgłośniejsze krzyki nie przywrócą jej włosów. Wówczas dziewczyna przejechała ręką po głowie i jakby dopiero po tym objęła ogrom nieszczęścia, bowiem zaniosła się ogromnym płaczem. Każda najmniejsza żyłka trzęsła się w jej ciele, a twarz stawała się z wolna czerwoną, spuchniętą maską.

Wychowawczynie wybuchnęła ostro:

– Moja droga, miej choć na tyle rozumu, aby zdać sobie sprawę, że w nagrodę za przyjęcie cię tutaj nie możesz nas wszystkie zawstydzić. . .

Chciała coś jeszcze mówić, ale zdenerwowanie odjęło jej głos. Dziewczynom odechciało się żartów. Kazia doszczętnie wyczerpana, pocieszana na wszystkie sposoby, dała się posadzić na stolku i dalej siedziała już spokojnie. Tylko od czasu do czasu wstrząsało nią drżenie. Głowa stawała się goła, na domiar złego niekształtna, a pęki włosów zaścielały podłogę. Kazia i tak nic nie widziała, bo i z płaczu, i z żalu bez mała oślepla. Po pół godzinie umyta i przebrana w zakładowe ubranie, siedziała w kącie świetlicy, bezmyślnie wpatrzona w ścianę. Na głowie miała zawiązaną białą lnianną chustkę, która dodatkowo uwydatniała jej proste rysy twarzy. Tym sposobem ze śmiesznie pretensjonalnej pannicy przeistoczyła się w typową sierotę z przytułku.

Anka, na której cała scena zrobiła przygnębiające wrażenie, nie brała w postrzyżynach udziału. Było przecież jasne, że żadne pocieszenia na nic się tu nie zdadzą i że fatalny wygląd i tak niepiękną dziewczyny zatruje jej życie w szkole na długo, bo choć włosy odrosną, plama pozostanie. Wszyscy będą wiedzieli, że miała wszy i koniec. W żadne bajki nikt nie uwierzy. „Czy rzeczywiście się nie da, choćby troszkę, poprawić losu biedaczki? Ale co można zrobić? Obciętych włosów nie zastąpi nic. A gdyby tak na głowie,

zamiast białej szmaty, zawiązać Kazi jaką ładną chustkę, wyglądz dziewczyny poprawiłby się znacznie. . . ”

Anka zerwała się z miejsca, pobiegła do sypialni i wyciągnęła kuferek. Siadła na ziemi i przewracała w nim chwilę, po czym wyjęła małą, starannie owiniętą paczkę. Moment jeszcze dumiała z widocznym roztargnieniem, potem rozpakowała zawiniątko i na jej dłonie spłynęła miękka, delikatna tkanina. Ręcznie malowana chusteczka z francuskiego jedwabiu pastelowymi barwami rozświetliła wnętrze izby. Był to talizman Anki, ostatnia rzecz z domu. . . przy tym pamiątka po ojcu, prezent od niego dla matki na jej imieniny, tuż przed wybuchem wojny. Tej chustki Anka nie nosiła wcale. Oglądała ją tylko czasem. Siadła na łóżku. Ogromnie żał jej było rozstać się z tą chustką. W tej samej chwili, przez drzwi, dostrzegła Kazię, która wstała z krzesła i wsparłszy głowę o futrynę okna, wodziła po chmurnym niebie zgaszonymi oczami. Anka, nie namyślając się dłużej, pchnęła nogą kuferek i wbiegła do świetlicy.

– Zdejmij tę szmatę, Kaziu, to upnę ci coś z tego – wyciągnęła rękę z chusteczką. – Wydaje mi się, że będzie ci w niej do twarzy. Prawda, że ładna?

Kazia otworzyła usta i przenosząc w tę i z powrotem spojrzenie z Anki na chustkę, odzyskała mowę.

– No – powiedziała z uznaniem – bardzo ładna, śliczna. Czy to twoja? Tak, fajna. . . ale ja nie mam pieniędzy, nie mogę jej od ciebie kupić – dodała z żalem.

Anka roześmiała się głośno. Myśl pobrania zapłaty za chustkę była tak bardzo odległa, że pomysł Kazi ją rozśmieszył.

– Czemu się śmiejesz? – spytała urażona Kazia.

– Ależ nie, tylko. . . ja nie mam zamiaru jej sprzedawać. Po prostu chcę ci ją dać.

Twarz Kazi pojaśniała. Zerwała z głowy białe płótno. Anka upięła jej misterny turban, w obramowaniu którego Kazia zupełnie się zmieniła. Ciepłe kolory przytłumiły przekrwione policzki, a błękit chustki zlał się z barwą jej oczu. Stała się znów podobna do człowieka. Zadowolona Anka obchodziła ją wokół i podziwiała dotąd, aż rozruszała ją całkiem. Kolacja wróciła humor. Placki z owsianej mąki, wprawdzie nieco gorzkie, lecz za to posypane

prawdziwym cukrem, były wyśmienite. Kazia zjadała je z miną wygłodniałego zwierzątka, zerkając trwożnie wokół siebie. Za to wieczorem Lucynka, natknąwszy się na Ankę, nie omieszkała powiedzieć:

– Nie mogłaś już wynaleźć odpowiedniejszej gęby do tej chustki? Co ci przyszło do głowy?

W ciepłych podmuchach wiatru z otwartego okna Kazia stała przed lustrem. Z prawa i z lewa, od przodu i od tyłu z zadowoleniem przyglądała się głowie. Pokrywała ją gęsta, falista powłoka całkiem sporych włosów. Wystarczyło parę miesięcy lepszych warunków, by cera Kazi wydelikatniała, a zgrubiałe od pracy ręce nabrały normalnego wyglądu. Nawet kolor odrastających włosów zmienił się na korzyść. Zaniedbana wiejska dziewczyna wyrabiała się z tygodnia na tydzień. W szkole radziła sobie całkiem nieźle, a początkowe trudności, których przyczyną, rzecz jasna, była łyśsa głowa, zlekceważyła z pogardą. A zresztą była dość pyskata, żeby sobie poradzić. Dawno już przebaczyła wszystkim swoje postrzyżyny, doceniając w pełni warunki swej nowej egzystencji. Jej stosunek do otoczenia był wprawdzie poprawny, ale bez zbliżenia i zawsze odrobinę nieufny. Koleżanki odwzajemniały się Kazi taką obojętnością i nie wciągały jej do swoich sekretów. Zresztą i panie uważały Kazię za mało sympatyczną, a Lucynka w złych chwilach zwała ją chamką ze wsi.

Lucynkę roznosiła fantazja i własny temperament. Popadała w zmienne nastroje, w tym również zniechęcenia, podczas których twierdziła, że jedyne, co warto, to spać. Kładła się wówczas na ławie, ponieważ nie wolno było zdrowym leżeć w dzień na łóżkach. Ostatnio ostentacyjnie spaliła dwa stare podarcuchy, które kiedyś były książkami, a z których jeden przedstawiał na okładce nagą kobietę. Lucynka bowiem znosiła nie wiadomo skąd najrozmaitsze książki poza plecami pań. Chowała je w pościeli i wszędzie gdzie się dało, w co była wtajemniczana tylko mała grupka. Ale gdy tylko się zajęła nową inscenizacją, zaraz wracała do normy. Kochała teatr i w tym aspekcie jej osobowość była nad wyraz dojrzała. Panie zaś bardzo popierały ten rodzaj rozrywki i pomagały jak mogły. Tym razem rola trafiła się także i Kazi, która ze względu na

włosy była wyśmienitym chłopcem. Dla Kazi był to rodzaj awansu towarzyskiego i za nic w świecie nie chciała się skompromitować. Powtarzała więc sobie z przejęciem wyuczone zwroty, choć niezbyt jasno rozumiała całość wystawianego obrazu.

Zza okna dochodził tymczasem gwar dziewczęcych głosów. Z sionki prowadził na ogród mały, pochyły ganeczek, porosły dzikim winem. Wśród misternie utkanych gałązek młode listki pieściły oczy świeżą, soczystą zielenią. Poddasze obsiadły gęsto rajcujące wróble. Do wnętrza izb wlatywał ożywczy zapach przebudzonej ziemi. Nalewał w młode serca nadzieję lepszego jutra. Nagie, dziewczęce ramiona dźwigały bliżej słońca pracowite, ruchliwe dłonie. Po zagonach śmigaly łopaty. Nicowały zszarzałą ziemię, na której barwny dywan z kwiatów uplecie życiodajna natura.

– Dziewczynki, już po piątej, zaczynamy próbę!

Cieniutki głosik Basi, głęboko wychylonej przez okno, wygonił przestraszone wróble. Z głośnym furkotem skrzydełek przesiadły się nieopodal i od nowa zaczęły swe targi. Prowizoryczna scena była przygotowana. Młodziutka reżyserka przeistaczała się przy pracy. Znikały porachunki; nie było lepszych i gorszych. Cierpliwie raz po raz pokazywała Kazi jej ruchy.

Gdzieś tam, za oknem, wstawał cichy wieczór... i przeogromny księżyc, jakby sama natura chciała odseparować od świata ten kącik miasta, żeby oszczędzić cierpień małym, sierocym sercom.